№ 9.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Naglowic.

ROK 1846. Poznań, dnia 4. Maja.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Stanisław Jaxa.

Szlachecka gadka.

(Dalszy ciąg.)

II.

Na krętéj zatoce krzemienistéj ławy, co wystrzeliła z ojcowskich przygórz, siadła sobie wężykiem mieścina, Skała, — zwyczajnie jak po staremu, jak w naszéj poczciwéj Polsce, mała, brudna, błotnista, koślawa, ale mieścina, dawnego rodu od króla Bolesława. Jednym bokiem, nie tak jak dzisiaj, tuli się cała w czarny jodłowy bór, drugim bielszym, podskakuje sobie ku górze, świeci ku bożemu światu; niech sobie świeci w spokoju! kiedy na tym padole płaczu, każdy rad choć czém czém, aby przecież zapuszyć, odświętną łyskliwą sukienką, osłonić powszedni rozstrój. — Staremi laty, kędy Leszki i Bolesławy chadzały na gołe łby po tych polach, kiedy tatarskie nawały roztrącały się o te zapadłe mroczne gęstwy kniei, oj inaczéj tu bywało prawie! I miasto stało gdzieindziéj — i nie takie stało jak dzisiaj — i zamek suto rozlegał się ponad miastem i w zamku nie puste jedno kąty, nie pająków były komnaty, ale książęce — królewskie — tak dawniéj... Dziś pożal się Boże choćby z latarnią szukać gruzu rozbitéj wielkości, dziś czarny bór, zielone pole, i oto wszystko, co pozostało, — dziś pies bury i sielanie o jaką milę w okrąg, zaledwie wiedzą, że mieściny jeszcze nie schłonęła święta ziemia. Taka to, taka koléj ludzkich rzeczy, tak gaśnie blask pożyczany.

Anoć owego czasu, kiedy się było, dzieje rzecz nasza, poczciwa Skała, nie wiele odtoczyła się od dzisiajszéj. Ten sam kościół i rynek, i domostwa z podcieniami i one same ciemne śliwowe sady, co je ustroiły w sute wieńce, jak dziewcze na zrękowiny, oj — ale życie nie takie — nie takie! — Czerwcowe słońce na łodzi z chmurek, bieży sobie na nocleg het, het — za góry, za lasy, długie cienie włóczą się po ziemi za kraśnemi promieńmi, istno za dziewczętami na balu, dzisiaj, czarne wymokłe eleganty; — anoć rynek szumi wrzawą, kipi ludem, — anoć wszędzie gwarno, huczno, odświętnie. Ej, lecz to ani odpust, ani kiermasz; to szwedzkich rajtarów zwaliło ze cztery seciny i panów szlachty z okolicznych dworów z dziesiątek, i skalskich mieszczan co żyło, zwyczajnie z ciekawości, i oto wszystko. Więc rajtary czerwone jak djabły, czubiaste jak koguty, pozłaziły z koni; więc jedni gawronią tu i owdzie, to za jakim krasnym buziakiem, to za jaką maluchną nóżką, drudzy szwargocą między sobą nieludzkim bełkotem, inni na bożych ludzi burczą, huczą, klną, wydziwiają, zwyczajnie jak szerszenie, kiedy wpadną do cudzego ula, jak to na wojence. Panowie szlachta pospuszczawszy nosy na kwintę, z pochmurném licem łażą od kąta do kąta stronami, wzglądają to ku niebu, co ciche rozległe wisi sobie ponad głowami w spokoju, jak za Saskich czasów i westchnie serdecznie jaki taki, to na Szweda i jaki taki miasto musnąć wąsa suto, napuszysto, szarpnie go tylko do urwania prawie, miasto poj-

rzeć jako człek, sypnie iskier falą, miasto zagadać po ludzku, pochwalić Pana Boga na powitanie, zgrzytnie zębem, jak krzemieniem o krzemień — odwróci się ostro — odejdzie precz — i nie dziwota.

Na uboczu wedle plebańskiego ogrodu z niepoczesnego domostwa wysunął niektóry szlachcic — ho nie! — to jasny pan — bo świetny na nim strój i jaskrawa pycha wygląda z oblicza; to pan starosta ojcowski! — Podle niego za pan brat, wali sobie drab jakiś szwedzki rajtar, czerwony od stóp do głowy jak burak, wódką i krasnym mundurem. Więc było, czmychają tak jeszcze chyłkiem, milczkiem ku rynkowi kroków z dziesiątek i z drógi, jak dwa lisy po chróstach, aż i dobili do rogu, aż i cały rynek wyjrzał im nagle przed oczy z za węgła, istno na dłoni. A pan starosta jak wystrzelił nagle, tak nagle, by sparzony cofnął się o krok za ścianę, czy się wstydził? czy to, że na złodzieju czapka gore?... Potém szwargotnął coś krótko do Szweda, potém palcem jak jańczarką wycelił w kupkę szlachty, co stała wedle ratusza. Szwed chwilę bełgotał coś jeszcze i starosta bełgotał, potém wtulił mu w łapę trzy żółto-łyskliwe holendry, Szwed łypnął ślipkami, jak wilk do jagnięcia, kiwnął głową i obrócił w rynek. Starosta jeszcze raz pchnął za nim jakieś nieludzkie słowo, ale znać z miny i z tonu, i pełne i gromkie, potém skrzywił się niby uśmiechem, ale słodziutko, jak bies na szkodę ludzką i uskoczył w zaułek. Szwed jak rzucon z procy, grzmił prosto ku szlachcie.

A był tam — i któżby inny, tylko pan chorążyc liwski Jaxa, wedle niego dobrzy sąsiedzi, stare kumy od szabli i uciechy, pan Antoni Narębski, dziedzic z Naręby, stolnik Olkuski, pan Józef Serkowski z Rzeplina, pan Tomasz Grzmotnicki z Szczodrkowic dziedzice; i oto wszyscy, samoczwór. Więc smutno było, stojąc tak sobie, ale hardo, ale orlo i orlo choć tęskno pozierają na szwedzkie zbytki; ale weseléj ostrzéj coś gwarzą. To jeden więc o panu wojewodzie kijowskim, to drugi o panu Lubomirskim, to inny znów słówko o Częstochowie, Tyszowicy i drudzy chwacko musną tylko wąsa, tylko dopadkiem, serdecznie uścisną głownię szablicy, tylko okiem, miną pogrożą ku rajtarom, — — — „Za dwie niedziele da Bóg, inaczéj będzie mościdziejki,“ bąknie który.

„Ho inaczéj, inaczéj!“ odbiją chórem reszta i znów szumieje pogwarka, jakbyś duszę weń tchnął.

Aż w tém nagle, tuż, tuż wedle nich, o krok, o dwa, raptowny, przeraźliwy krzyk jakiś niewieści: „ratujcie! ratujcie!“ zaskrzekotał w powietrzu i w téjże saméj chwili sielskie krasne dziewcze jakieś, ale pobladłe od strachu, jak spłowiały wieczorny obłoczek, upadło między kupką szlachty. Tuż za nią, istno majowy chrząszcz, ów szwedzki drab, z piekielnym pijackim śmiechem.

„Jasne pany niedajcie, niedajcie sieroty!“...... żebrało dziewcze boleśnie, stargano, tuląc się do nóg Jaxy. —

A Szwed ani pyta, ani się sroma, tylko bezczelnie taszczy za pieszczotliwy staniczek.

„Co Waść — Waść! — Precz mi stąd — szanuj prawo Mośdziejku zbójco!“ — zakrzyknął stary chorąży odtrącając go z harda.

„Ty — ty — Polak pies! fort! — wrzasnął rozjuszony żołdak, — podskoczył — zawinął pięścią, i ciężki raz upadł na policzek szlachcica.

Hej straszno to było! — Jaxie nagle zaćmiło, zaiskrzyło się w oczach, jakby nagle całe niebo gwiazd świsnęło mu wedle źrenicy, — krew warem buchała do głowy — świat boży skręcił się młyńcem, pierś wstrzęsła jak uderzona piorunem. A Szwed jeszcze na dobitkę zaśmiał się suto, jak sowa, — potém chciał odskoczyć — oj zapóźno, zapóźno nieboże! Łyskliwy kord przypomniał sobie starą pohulankę, śmignął przez powietrze jak błysk pioruna, — upadł. — Ostatnie echo sowiego pośmiechu, zmąciło się z trupim przeraźliwym jękiem, mózg ze krwią trysnął w powietrze, Szwed z rozpłatanąjak skorupa dyni, czaszką, zatoczył się i zwalił w błoto. — Oj zdrowiéj ci, zdrowiéj było nieboraku, — nie widzieć, nie słyszeć o dziewczętach, a nie sprzedawać jeszcze piekłu tak młodo grzesznéj duszy. Cóż robić, — chłop strzela, Pan Bóg kule nosi.

Hej byłoż tam potém było! aż serce boli wspomnieć! — Szwedzi jak wilki wściekłe rzucili się na bezbronną szlachtę; — jaki taki drapnął gdzie mógł, i dziewcze zgasło jak mogło. — Jaxa ani się stracha, ani ucieka, — dopadli biedaka jak obarczoną sarnę, i byliby na miejscu rozdarli, mój Boże! W tém przyskoczył dowódzca, — więc wrzasnął — więc huknął: „łapaj zbójcę!“ więc związali, wrzucili na wóz, precz ku Cianowicom, na południe — krakowskim szlakiem. Ej nie na zapusty! nie na zapusty! — ale na śmierć.

III.

„Krótkie moje słowo Mościa Panno Mopanku“ prawił z ostra, z cierpka pan starosta ojcowski do tonącego we łzach i serdecznym płaczu dziewczęcia, — do biednéj Franusi Jaxówney, a kroczył chmurno — szeroko po onéj chędogiéj komnatce w białym dworze szlachcica. „Krótkie moje słowo, a węzłowate, i wasze węzłowate niech będzie. Tak? albo nie? — Tak? wszystkie skarby Opoleckich są wasze, wszystkie moje

zamki, dzierzawy, ja wszystek przy waszych nogach! I szczęściem wśród dostatków rozwidni wam się jeszcze ten świat;“ — uderzył słodziéj, czuléj, topiąc iskrzące od namiętności źrenice, w ponętnéj kibici sieroty. — „I jeszcze te nadobne zapłakane oczka zagrają mi weselem, i wasz rodzic jest wolnym — wolnym jakom szlachcic, magnat! Jego ucieczka w mém ręku, więc pędzi w spokoju stare lata, błogosławiąc poświęceniu dziecięcia. Nie?“... i przemalował w lot lice, w jednę gradawą chmurę, a grzmiał nad wątłém dziewczątkiem, jak kara boża nad światem.

„Nie?... więc mów zawczasu wiecznie odpocznienie, za jego biedną duszę ojcobójczynio! — Jego zbrodnia nieodwrócona, widna jak dzień — i nieodbita zemsta Szwedów. Jutrzejsze słońce, przeglądnie się w strudze jego ciepłéj krwi. Więc miła panno tak, albo nie?“... I uciął, i tupnął tylko na dobitkę nogą, aż wszystkie szyby zadzwoniły jednym brzękiem, i stanął niemy jak grób, jedno jaskrawa łuna piekła, grała mu z dusznych czeluści po licu.

A biedna sierota na całą odpowiedź, padła tylko na kolana, rozstrojnie, bezwładnie, z rozpaczą w oku, z żałobą na licu. „Litości — litości jasny panie!“ — zakwiliła głosem ni ostrym, ani przeraźliwym, ale tak bolesno mdlejącym, tak miluchno ciemnym, jak mrok widnéj nocy, — jakim kobieta jedno, i anioł zdolą rozbijać skały granitu. „Litości! — toć ja Wacusia tak kocham... kocham zajęczało raz jeszcze, istne echo ostatniego westchnienia, i roztajało w serdecznem łkaniu.

„Ty kochasz więc jeszcze tego chłystka!“ — pochwycił, odskakując jak od głowni starosta — ho, słodkie musiałoż mu być ono kochanie, jak djabłu świętości. — „Ty kochasz! i śmiesz jeszcze bezczelnie pluć mi w oczy ową miłością? wolno — więc kochaj!“ zagrzmiał znów szydersko, piekielnym śmiechem: „kochaj, tul, ściskaj! — i szwedzki topór uściśnie wnet serdeczno szyję biednego starca; ho — ale z tego uścisku, nie wydrzesz go tak łacno, jak ja ciebie z objęć twojego gacha zła córko!... A znasz ty moc moję? a znasz ty czarne lochy pod mémi zamczyskami? Ej — aleś ty dziecko Franusiu,“ uderzył znów nagle osłodzonym głosem, a groza topniała w nim, jak lód w słońcowém pojrzeniu. „Franusiu, ja nie miałbym serca do tego, ot słuchaj mnie miła panno, dla zdrowia rodzica, zapomnij tego wartogłówca, zapomnij jak i on ciebie zapomniał już pewno. Zaświeci tobie zaprawdę i ze mną szczęśliwość, — jak złoto z twéj godowéj szaty, — jak twe rodowe imie ongi Mopanku w staréj Polsce świecało. Ot masz cztery pacierze czasu, więc weź Pana Boga na pomoc, rozmyśl się, i orzeknij, śmierć lub życie twojemu ojcu, sobie cześć jako połowica Opoleckiego, lub hańbę jako?“.... i niezdołał doskrzekotać reszty, niepoczciwe słowo zamarło w czarnych piersi głębinach.

A Franusia!... biedna ona sierota! — i na cóż Bóg dobry dał te koralowe usteczka, i te śliczne jagody, jak na śnieżnym puchu lilii pocałunek jutrzenki, i te oczka jasne, istno niebiańskie przezroczo, i jak niebiosy anielskie głębokie, bezdenne, i tę piękną duszę, i to serduszko co pokochało tak szczerze!... na co? na smutek i potyranie po téj biednéj ziemi!... Zaledwo ranek życia zaświtał jéj pierwszą różyczką nadziei, — zaledwie pierwsze tętno duszy radośniéj przejrzało na jaśnią, już świat zimny, świat niepoczciwy w cierni wieńce ustroił młodą skroń, boleści powodzią zdusił wiośnianą piosneczkę. I zgasła gwiazdka we wschodzie bez obrony — bez pociechy!... Biedne, biedne życie sieroty!...

Więc trzy pacierze spłynęły jak wiatr, dziewcze jak płakało tak płacze, starosta jak suwał ostro, szeroko po komnacie, tak sobie i suwa. Ciężki to wybór, straszna ta gra, kto ma taką duszę i serduszko takie, i w serduszku takie dwa obrazki, lubego i ojca.

„Słodka panno — czas spłynął, Mopanku,“ — aż i zahuczał wraz na starą nutę Opolecki, ale czegoś więcéj, topliwiéj — pieszcząc śnieżną rączkę Franusi; no i cóż więc? — tak? albo nie? — tak, albo nie? Jedno mi słowo nadobna dzieweczko!

„Oj srogi panie, miłosierdzia — litości,“ zamodliło się znów dziewcze, topiąc śliczne oczka zamglone boleścią, jak tęcza deszczową siatką, w licu i duszy twardego człowieka. „O litości, toć ja wam przecie nigdy nic złego nie zrobiła sierota, a wy mnie tak niepoczciwie zabijacie! Mojego ojca — mojego Wacława — litości!“....

„I jeszcze Wacława! Precz, precz mi z litością! zawrzasnął wściekle starosta, odtrącając dziko wiotką rączynę. „Niechcesz mnie? — więc stało się, śmierć wybierasz! — Więc krew rodzica, bogdaj spadnie na twoją głowę przeklęta! — zginie! — lecz i tobie sromota, nie miłośne roskosze!“ — I jak stanął z burzą na licu, tak gromko porwał się niby do odlotu, już, już we drzwiach komnatki.

„Panie starosto! ja wasza! jedno ratujcie mi ojca, zakrzyknęło poczciwe, biegnąc za nim z rozkrzyżowanémi rączęty. — Mój Boże! lecz biedny ten już, biedny, komu na tym świecie z piersi choć raz wyleci straszny krzyk taki! „Ratuj panie, — Ojcze! Wacławie bądź zdrowy!“... jąkała jeszcze, lecz coraz mdławiéj, jak echo zagasłéj pieśni, aż na raz mglana jakaś siatka zawlokła oczka, jagody. — Starosta z licem

promiennėm, istno latowe słońce poskoczył ku niéj, zapóźno! Biedna sierota jęknęła jeszcze cichutko, i opadła zemdlona, istno ścięty polny kwiateczek.

Co tam! — ale zwyciężył jasny pan!

IV.

Jodłowym borem, ciemną knieją, od Ojcowa, tam w górę, ku zachodowi, ku Olkuszu, ciekła sobie, i ciecze do dziś wąziuchno drużyna, usłana kamieńmi, korzeniami, gliną — błotem — jak Bóg dał. Gdybyś się stał jastrzębiem, a zawisnął sobie gdzie w chmurze, a pojrzał ku niéj przez borów czernią, to dziwno, nadobnie by ci wyjrzała z oddali. Tam żółtym paskiem wyskoczy, zamiga ku słoneczku, owdzie wtuli się znów w najmroczniejszą gęstwinę, — a wciąż bieży i bieży, jak rzeczułka po łące, jak wstęga wplątana w ciemny warkocz krakowianki. Dzikie kozy, sielskie okoliczne chłopcy i dziewczęta, kiedy w niedzielę po księżycu wracają z jagód, — wyskakują po niéj celnie, posuwisto przeróżne taneczki, — to prawda, i leśne ptaszęta wyśpiewują nad nią przecudowne śpiewki, — i słodki — chłodny szum kniei dziwno, łoskotliwie huśta się, majaczy tam, po uchu, dziwniéj po duszy, kto go zrozumie, i lubo oku pojrzeć na pstre obrazki, co migają z okoła, — ale co wlec się tamtędy landarą, a do tego sutą — miastową, — oj, to nie wesele zaprawdę!

Tak nie wesele było i panu staroście, choć cztery dzielne bachmaty ledwo nie roztargały pozłocistéj taradajki, — choć myśli leciały przodem jak wichry, choć dusza ledwo nie urwała się z piersi, by wyminąć ciało. Anoć już przemógł najgorsze, już dobijał ku Kalinowu, — wioszczyny co ztąd o pół milki utuliło się było między borami, nie jak dziś w jasném polu — jak zielona żabka we trzcinie. Jednak Opolecki zatopion w marzeniach nic nie widzi, nie słyszy; jemu po licu taka ucieszna, pełna nadziei wyskakuje dumka, choć niespokojna, wichrowata, jak chłopcu kiedy wali na swoje weselisko. I nie dziw, — bo to do Krakowa tak huczno, spieszno sunie, to wyzwolić starego Jaxę z szwedzkich szponów, naprawić niepoczciwy grzech. Boże mu daj.

„Pal Tomek! nie żałuj — pal! pokrzykuje co chwila niecierpliwie na forysia. Oj nadarmo Tomkowi palić! — darmo kopytami prać ziemię bachmatom, kiedy tu raptem z półkopy, dziwno poprzestrajanych ludzi, jak grad — jak tatarski zagon, z bujnych traw stepu, — spadli ze wszech stron, przysuli i konie, i Tomka, i kolasę.

„Zbójce! violentia! — z drogi — precz! w imie pospolitéj rzeczy, — w imie króla jegomości precz! bo rozsiekam, zabiję!“ wrzeszczał, rzucając się jak wilk po ostępie, pan starosta, a demeszką cuda malował po łapach, po łbach napastników, rozparty w landarze, istno dzik w legowisku.

„Wet za wet! darmo nic! — verbum nobile — nobile verbum! — tego owego! — trafił frant na franta! przyszła rzeczka do morza!“ — huczał jeden z najtęższéj docinających.

„Ha człeku, Mopanku zażyłeś mnie z mańki! Bóg widzi — Bóg widzi, odpłacę ci z lichwą rabusiu! — raptorze! Prawém, lewém, czém chcesz ale odpłacę!“ — grzmiał zziajany starosta, kiedy demeszka prysła jak igiełka o jakiś kord, a przywalon nawałą rąk, dusił się na dnie landary.

„Płać bratku czém chcesz, — bij się jak chcesz jutro, ale dziś jeszcze musisz, trup czy żywy być związan przed ołtarzem z moją dziewką uwodzicielu! Musisz, jako dałeś szlacheckie słowo ongi, pomnisz w jesieni, na onéj uczcie u pana Sendomirskiego! — musisz!... jakom stolnik musisz!“ —

„A ja tobie pokażę że nie muszę! — I nie wezmę waszéj dziewki, nie wezmę jakom Opolecki Mopanku! i świat zwal się na moją głowę, nikt mnie do tego nie przyniewoli. A ty mi odbekniesz za to, suto odbekniesz, w wieży, in fundo, rabusiu! — odbekniesz na fortunie, na zdrowiu! darł się spowity własnym pasem, istno kot w worku starosta.

„A ja ci pokażę, że nie odbeknę, — i żeś ty waszeć podły, tego owego, mości Opolecki, kiedy śmiesz kłamać szlacheckiemu słowu!... Ha! ha! znają się na farbowanych lisach! Waszeci, pana Krakowskiego dziewka wpadła coś w oczko, — doń zalubiałoby się smolić cholewki — radoby się chapnąć ją z przed nosa memu Jasiowi, — a mnie pokazać tego owego figę, a chłopcu grochowy wianek! — Ha! ale na wiatr to, na wiatr mój waści! — trafiła kosa na kamień! Niechcesz dziś mojéj dziewki, broń się choć trzy pacierze, a przed wszystkim światem owrzasnę cię bez czci, bez wiary — podłym, infamisem, coś złamał nobile verbum! verbum nobile mości starosto!“

„Ha nobile! — niechaj aż Bóg nie pamięta człeku, coś mi uczynił mosanku! moja Fra..... — ale nobile! nobile — stabile.... Biorę waszą dziewkę, walmy do Piaskowéj Skały!“ —

„Toś mi zuch! toś mi nasz panie zięciu!“ wołał huczno pan stolnik, rozrywając powojniki, co krępowały ręce Opoleckiego. „Wiwat pan starosta! wiwat! — hej do Piaskowéj Skały.“

A Opolecki miasto uciechą odpić mu z téj saméj czary, pochmurzył tylko lice, zaćmił oczy sumiastą brwią i smutkiem.

„Mości stolniku,“ prawił cierpko: „kiedy taka już wola Boża, a djable igrzysko, choć z tém pismem pchnijcie w lot jednego z waszych do Krakowa, do pana Bluminga wójta. Pchnijcie co tchu, bo życie jednego z moich starych druchów na tém wisi.“

„Tego owego, stanie się dość woli waszéj;“ — odbił w lot stolnik, odbierając list, i w chwili wydał rozkazy. Starosta zaciął zęby, schmurzone lice zatulił w kolistą opończę, — czy się sroma pojrzeć bożemu światu w oczy? czy tak chce zdusić uczucie co drze mu serce?... — Pan stolnik skoczył wedle niego do landary, cmoknęli bachmatom, i poćmili jak wicher w drugą stronę, wedle boru — ku Piaskowéj Skale. Tak to dziwno stroi się na tym biednym świecie, — tak niepomogła ani groźba, ni prośba, ani moc, ani pycha, tak go porwali, i ciemnéj jedlinie, zwierciadlanemu niebu, Panu Bogu, i onym tylko wiadomo, co się działo.

Nosił wilk owieczki, ponieśli i wilka.

(Dokończenie nastąpi.)

Krater i jeziora Astroni.

Neapol, w Marcu 1846. — Nie ulega żadnéj wątpliwości, iż okolice Neapolu nieporównanie są piękne, lecz nikt się niedomyśla, że oprócz zachwalonych, opiewanych i opisanych w pamiętnikach podróży znajduje się mnóstwo zajmujących dziwów natury niedaleko téj stolicy. Tysiące zwiedza Bajac nad łysemi stoczystościami monte Gauro niedaleko Pozzuoli, nieprzeczuwając, że za niemi znajduje się głęboki krater, otoczony przepaścistemi ścianami, że domy wieśniaków zlewają się na dnie jego w romantyczną wioszczynę, otoczoną winnicami, leszczyną, kasztanami i bujną ziemią, że ze szczytu jego widok najśliczniejszy otwiera się na jeziora Patria, Licola i Fusaro, Mare morto, na zwierciadlane wody Lucrinu i Avenu, na monte di Procida, przylądek Misen, na ścięty słup kumejski, na całą Campagna felice, aż do grzbietów Apeninu. Rzadko kto zwiedza melancholijne jezioro Patria z wielkiemi pomnikami nad niém rozpołożonemi Scypiona afrykańskiego, którego willa i grobowiec rozpadły w ruinach. Cumae odwiedzi jeszcze może jaki Anglik uganiający się za wazami i monetami starożytnemi. Wąwóz kaudyjski, świadek podstępu Samnitów i odwagi rzymskiéj, sławne pięknością kobiet Arienzo, tylko o kilka kroków odległe od Cancello, stacyi kolei żelaznéj z Neapolu do Kapuy, stoczystości łańcucha gór trebulińskich, gdzie woły Hannibala unoszące na łbach zapalone chrósty, złudziły rostropnego i ostrożnego Fabiusza, stolica Teano starożytnych Sedicinów z gęstemi i cienistemi borami kasztanów i nieporównanemi źródłami żelaznemi, które coraz słynniejszemi się stają, bujne doliny Avellino i Salerno i innych tysiąc okolic nikomu nie są znane i nikt je nie odwiedza. Toż samo powiedzieć można o kraterze tak zwanych jezior Astroni, z królewskim parkiem i psią grotą.

Wyjechaliśmy w dzień pogodny około południa z Neapolu, nad piękną Riviera di Chiaja przez grotę Pausilippo, którą według gminnego podania miał czarodziéj Wirgili przez jednę noc utworzyć, a która już za czasów Strabona tak była obszerną, że dwa wozy wygodnie mogły się wyminąć, ztąd udaliśmy się piechotą przez pagórki Tuff, które otaczają jezioro Agnano. Przez ogrody i winnice weszliśmy na ścieszkę wiodącą w jary, któremi dostać się można na szczyt góry. Tu otwiera się widok na jasne i połyskujące zwierciadło jeziora, ojczyznę niezliczonych kaczek i żab, które skrzekiem i wrzaskiem napełniają powietrze. Polowanie należy do króla, a tylko książęta Syrakuzy i Salerna są myśliwymi i zwiedzają te okolice, przeto ptastwo rozmnaża się nadzwyczajnie. Nad jeziorem majaczeją szczyty Solfatara w białożółtym kolorze. Na lewo nad brzegiem jest psia grota, obok niéj są kąpiele parowe, stopnie di San Germano, i jak z ruin wnosić można niezmierne kąpiele za czasów Rzymian. Śród gęstych janowców, młodych kasztanów, nad przepaściami Tuffu schodzimy niemal prostopadle, a w pół godziny bawimy się w ogrodach nad brzegami jeziora, gdzie miliony żab wstrzymują nasze kroki i dały niegdyś powód do bajeczki o deszczu żabim w owych okolicach. Daléj wdrapywaliśmy się na górę do domu myśliwych, ztąd schodzi się do kotliny romantycznéj Astroni. Oddaliśmy tu nasze bilety, któreśmy otrzymali w skutek rozporządzenia królewskiego od pana Staiti, który jest majordomus w Neapolu i zeszliśmy zwolna na dno krateru niezmiernego, zatrzymując się co krok uderzeni nowym cudownym widokiem. Wysokie, prostopadłe na 400 stóp ściany Tuffu, tam umajone bujną zielonością, owdzie otoczone lawą odwieczną, okolają foremnie kotlinę. Na dnie kotliny rosną piękne dęby skalne, kasztany, topole, myrty i wawrzyny. W środku wznoszą się trzy pagórki

z dolinami i jarami, u stóp największego błyszczy spokojne jezioro, obrosłe trzciną wysoką, dwa inne wodozbiory są dalej w boru ukryte. Lasek zawsze zieleniejących się dębów, zdobi najwyższy pagórek, który wytrysł z wnętrzna krateru. Na prawo znajduje się dom myśliwy królewski, obok znajduje się park gęsty, w którym dziki przebywają. Na około krateru zbudowano szeroką drogę, osadzoną topolami, Drogi uboczne we wszystkich ją przerzynają kierunkach. Na szczycie téj kotliny zbudowano naokół wysoki i szeroki mur, wzmocniony wieżami dla dozórców, którzy pilnują, aby zwierz, choćby się przedarł aż do szczytu, nie mógł wydobyć się zupełnie z tego krateru. Mur ten zaledwie w 1 ½ godziny, spód zaś krateru w ½ godziny z łatwością obejść można.

Osłupiali niemal tym dziwnie pięknym widokiem nareście udaliśmy się ku jezioru. Urok spoczywający na téj ustroni z niczem porównać niemożna. Mnóstwo tu rośnie roślin, a nawet rzadkich według podania botaników Tenore i Gussone. W porównaniu ze spalonemi od gorąca roślinami nad brzegami Pausilippo aż do Bai, ukazuje się ta kotlina wulkaniczna w blasku najświeższéj zieloności. Jezioro większe leży w zachodniéj stronie krateru między ścianą skalistą a najwyższym pagórkiem. Jest głębokie na 60 stóp i w głębi jako też nad brzegami ma źródła mineralne.

Dawniéj używali tu kąpieli chorzy ludzie, dziś tylko pławią schorzałe konie, krowy i owce, którym te kąpiele bardzo pomagają.

Od brzegów tego jeziora przepełnionego karpiami i węgorzami, udaliśmy się na wzgórze w środku krateru znajdujące się, tu zasiedliśmy pod cieniem drzew rozłożystych do wieczerzy, do któréj nam dostarczyli królewscy myśliwi wina falernejskiego. Z tego miejsca przypatrywaliśmy się temu wulkanicznemu więzieniu, otoczonemu lawą i przepaścistemi skałami, ozdobionemu borami i jeziorami. Przez zarośla udaliśmy się z góry na dolinę północną, gdzie na jednéj spadzistości znajduje się dom myśliwski. Książę Karól z Kapuy był ostatnim, który tu wyprawiał na cześć swéj pięknéj małżonki polowanie. Tu czekaliśmy aż słońce zajdzie za ściany zachodnie krateru, strzelec jeden zaprowadził nas do parku, w którym znajdują się dziki. Strzelec zatrąbił, a echo w tysiącznym rozgłosie odbiło się o skały krateru. Z domu myśliwych w kilka minut usłyszeliśmy podobny odgłos i niebawem przybył nadleśniczy na koniu z miechem kukurydzy. Zajęliśmy nasze stanowiska. Obadwaj strzelcy zatrąbili powtórnie, wysypali na ziemię kukurydze, aż tu naraz zaszeleściło w zaroślach. Zewsząd czarne łby z kłami, z cielskiem opasłém pokazały się, śledząc oczyma nieproszonych gości. Lecz ziarno rozsypane przemogło nad ich namysłem, a w kilka sekund uwijało się przeszło 70 dzików jak na teatrze pod naszemi stopami. Bawił nas widok tych zwierząt, ich skoki, ich przywiązanie i nienawiść wzajemna. Macierz z dwunastu młodémi żwawo się uwijała za ziarnem i pierwsza wróciła w gęstwiny na swe legowisko. Kiedy już zabrakło ziarna, wszystkie dziki pobiegły do wody, napiły się i pokryły w zaroślach.

Potém w stronie północnéj po massach lawy wypalonego wulkanu, dążyliśmy do domu myśliwych po ścieszce jedynéj wiodącéj z téj otchłani, którą ręka pracowita przed wieki wykuła, pożegnaliśmy się z myśliwymi i znaleźliśmy niedaleko psiéj groty nasz pojazd.

Lorenzo Giustiniani, dawny bibliotekarz przy museo borbonico, zebrał w swym dizionario geografico ragionato del regno di Napoli zajmujące wiadomości o Astruni, które starożytni pisarze także listrones nazywają. Nazwisko to niewątpliwie wzięte jest od rodzaju roślin, zwanych astrone, które mają kielichy kwiatu z nasieniem, skoro dojrzeją pękają, ziarno się wysypuje i są podobne do gwiazd. Guicciardini i Facio, historyograf króla Alfonsa opisują to miejsce. W średnich wiekach zgromadzali się tu czarodzieje i grabarze skarbów, podobnie jak w grotach Sibylli około Cumae. Znawcy badali przyrodę tego wulkanu, jak Hamilton, Spalanzani, Bartoli i wielu innych, a ich badania to samo powtórzyły, co Strabo w starożytności o tych miejscach powiedział, że dawniéj się paliły. Otwór tego krateru jest największy w téj okolicy i najstarożytniejszy, oprócz jeziora Agnaro, które także jest wypalonym kraterem, mającym ściany w około na 1450 stóp wysokości. Zdaje się, iż w całéj téj okolicy na polach flegrejskich i leukogejskich ciągle nowe wydobywają się wulkany z głębi morza i czepiają się brzegów lub stóp dawnych wulkanów. Toż samo powiedzieć można o Wezuwiuszu. Przypatrując się z monte Gauro, z przyglądku Misen lub Camaldoli na ziemie okoliczne, przybierają i tak piękne i cudowne kotliny, przepaści, jeziora w tych okolicach, nowy urok.

Już starożytni opisują nam flegrejskie pola jako produkt wulkaniczny, wymieniam tu tylko Strabona, Diodora sycylijskiego, Polybiusza i Pliniusza.

Wnijście do krateru Astruni wykuła ręka ludzka, natura utworzyła z niego kotlinę zupełnie okrą-

głą, otoczoną spadzistemi ścianami. Do krateru góry Gauro dostali się Rzymianie, o czém przekonać się można z wielu ruin, kamieni ociosanych i korytarza ukrytego, tu zaś wyżłobił Alfons drogę według wszelkiego do prawdy podobieństwa. Pontano i Facio opowiadają nam o uroczystych polowaniach wyprawionych w tych okolicach. Cały dwór i przeszło 30,000 ludzi zgromadziło się na uroczystości, które Alfons wyprawiał na część Eleonory i Fryderyka III. Facio powiada, iż w całych Włoszech nie masz piękniejszego miejsca na polowanie. Później opustoszało. Uroczy wulkan przedawano, dzierzawiono, a w roku 1721. nabyli go nawet Jezuici. Od nich kupił Karól III., bawił się tu często polowaniem i otoczył krater murami i wieżami dla straży. Rząd teraźniejszy mało dba o tutejsze przyjemności, a to z powodu, iż zbyt uciążają skarb publiczny i jak powiadają, iż na wyżywienie dzików, łabędzi i ptastwa znajdującego się w tych okolicach wydano w roku przeszłym parękroćstotysięcy dukatów.

ROZMAITOŚCI.

— **Z Poznania.** — „Roku 1846.“ wyszedł poszyt IV. i zawiera: 1) O położeniu klassy wyrobniczéj w Anglii; 2) Lachy, Lechici, Lechija. (Dokończenie). 3) Oświadczenie Redakcyi.

— Kwiaty odgrywają wielką rolę w Paryżu. Paryżanin lubi daleko bardziéj kwiaty, aniżeli zwierzęta. Paryżanki lubią także kwiaty, ale lubią je w zespoleniu; dla nich rosną one w gotowe wieńce, bukiety na bulwarach, lubią je, jako ozdobę lub hołd im składany. Flora nie jest ich boginią, tylko sługą, która ich głowy i piersi zdobi, one chcą same być boginiami. Czyliż niewidzimy flory w tysiącu postaci rozdrobnionéj na salach balowych? Co za cieplik przelatywać musi te nowe flory! Tam kwiaty wyrastają z włosów, z piersi, z rąk. Gałęzie wieńców dziwnym się sposobem łączą, zdaje się, że tak i na łodygach w naturze rosną, ocieniają białe skronie, jakoby z niemi nigdy niemiały się rozstać. Kolory bukietów n piersi są gustownie ułożone, tak się rozpływają w kolorach, iż sam pędzel natury piękniéjby ich nienamalował. Jako jeden kwiateczek, wyrasta z jednéj łodygi cały prześliczny bukiet. Bukiet w ręku jest wieńcem we wieńcu, wieniec rezedy otacza fijołki, na okół tych kwitnie pąkówie róż, po nich następują heliotropy i t. d. Paryskie bukiety są sławne na całą Europę.

— Amerykanie także mają wyższe towarzystwa, w których wydarzają się wypadki szczególniejsze. Tak opowiadają o jednym przypadku zaszłym ostatniéj zimy na balu u bogatego kupca. Wszystko odbywało się na balu w jak najlepszym porządku, gdy wpada gospodarz nagle między tańczących i woła: „moi panowie, bal się skończył, potrzebuję spokojności — kapitan Harris pocałował moją żonę.“ Nastąpiło w skutek tego oświadczenia powszechne zamieszanie, kobiety biegły po swoje płaszcze, zarękawki i boa i spieszyły się coprędzéj z opuszczeniem domu tego, gdy gospodarz znów wraca uradowany, stawa z wypogodzoną twarzą w środku sali i woła: panowie, pozostańcie, bal może się daléj odbywać, kapitan Harris pokazał się człowiekiem honorowym, dał satysfakcyą i zapłacił 5 dollarów.“ Jeżeli obrazę kto nie opłaci pieniędzmi, natychmiast Amerykanin, a szczególniéj Kentuk chwyta za broń i pojedynkuje się. Szczególniéj noszą przy sobie pióra do zębów, jak nazywają sztylety, których głownię w trzech czwartych w pochwę chowają. Jeżeli między nimi wszczyna się kłótnia, dobywają sztyletów z pochwy i niemi dłubią w zębach na znak, iż gotowi są użyć téj broni. Na statkach parowych oznaczają sobie zajęcie posłania sztyletami, położony sztylet na posłaniu tyle znaczy, co: „kto chce zająć to łoże, ma zemną do czynienia.“ Skoro inny położy obok sztyletu pistolet na posłaniu, natenczas sztyletowy podróżny odstępuje łoża, bo pistolet uważany jest za broń przeważniejszą.

— Seinecke w dziele swém, o wyższém ukształceniu płci niewieściéj, daje zdrowy sąd o teraźniejszéj nauce muzyki: czyli rzeczą jest potrzebną dla ukształconéj panny, aby w takich rozmiarach odbierała naukę muzykalną, poświęcając na to najznaczniejszą część życia swego? I tu wkradła się znów moda lub zwyczaj uprzedzony, bo rzeczą nie jest konieczną, aby ukształcony człowiek był wirtuozem w muzyce. Bez moralno-religijnego ukształcenia niemoże być człowiek człowiekiem, ale bez wiadomości muzycznych może odpowiedzieć wyższym zadaniom życia... Oprócz tego zdaje mi się, że nie uważają na naukę muzyki w połączeniu z całém ukształceniem człowieka. Kiedy nauka szczególniéj powinna obudzić uczucie muzyczne i zrozumienie wielkich dzieł muzycznych, to z drugiéj strony starają się tylko o utworzenie wirtuozów. Ztąd pochodzi owa mozolna nauka, zasadzająca się na biegłości palcy, dogadzająca próżności, poniżająca boską sztukę. To barbarzyństwo w muzyce najgorszy wpływ wywiera na płody muzyczne. Zapewne największa część naszéj muzyki koncertowéj przepełniona jest głupstwem. Wszystko tam obliczono na efekt, na słodycze, połyski, szaleństwo, mało zaś znachodzimy jasności, lubości, siły i głębokości uczu-

cia... Nasze czasy sypią kadzidła wirtuozom muzycznym darami ziemskiemi, w Grecyi te zaszczyty inaczéj rozdzielano. Arystofanes powiada, że chłopcy powinni melodye swych ojców z wolna i z powagą powtarzać bez żadnych dodatków i mają silne otrzymywać razy, jeżeliby je ruladami chcieli przyozdobić. Oby rodzice chcieli go usłuchać i pozostawili głupstwa wirtuozom i nie dręczyli biednych dzieci pstrocizną bez ducha!... Niech siebie zapytają, czyli chcą wykształcić w swych ulubieńcach palce czyli duszę!.. Niech ich na lepszą wyprowadzi drogę doświadczenie, że muzyka dla wielu dzieci staje się udręczeniem, zamiast rozradowania serca i rozweselenia umysłu.

— Osobliwszą budują kolėj żelazną atmosferyczną między Lugdunem a Vaise. Pod przedmieściem pierwszego miasta zwanem Croix Roux pójdzie tunel podziemny, przez któren przechodzić ma kolej żelazna; w podniebieniu będą porobione otwory, przez które spuszczać mają podróżnych z miasta na kolėj żelazną i temi samemi otworami wysiadać będą do ozdobnych pokoi nad ziemią w dworcach na ten cel wybudowanych.

— Listy z Neapolu donoszą o ścisłéj etykiecie, któréj przestrzega cesarzowa rossyjska, która teraz bawi w tém mieście. Tak między innemi nie wolno żadnéj damie pokazać się cesarzowéj dwa razy w jednym ubiorze.

Oświadczenie Redakcyi.

Dokończenie artykułu „Smierć Pawła“ nie może nastąpić. Winy w tém nie ma redakcya.

MODY.

Paryż, dnia 21. Kwietnia 1846.

Z nowych sukien ujrzeliśmy następujące: suknię z lśniącego lilijowego jedwabiu o sześciu falbanach z pasamonów, robionych w kształt wstążek, z mantyllą z téj saméj tkaniny. Piękną téż była suknia inna jedwabna zielona z falbanami, wysokim stanikiem i otwartémi rękawami, z podrękawkami koronkowémi. Wiele téż sukien noszą z nowéj tkaniny, która wygląda, jakoby na jéj tle morowem znajdowały się wstążki. Widzieliśmy szlafroczek z kitajki nankinowéj, oszytéj sznureczkami w kształt haftu.

W szalach długich panuje rozmaitość, pięknie i nowo wyglądały z białego bareżu, orzucone maleńkiémi falbanami z wstążek różowych, lilijowych, niebieskich i t. d.

Między nowémi tkaninami widzieliśmy kitajki naśladujące aksamity i tkaniny koronkowe, które są robione z lśniącego jedwabiu i tak przerabiane, że wzory na nich wydają się jako koronkowa osłona na tle jedwabném.

Szkockie bareże zaczynają się upowszechniać jakotéż kratkowane tarlatany. Podobnie utrzymują się w modzie tarlatany. Pokazują téż tkaninę fil de chèvre, gładką lub fasonowaną, grenadynę i neapolitańską kitajkę, mianowicie na szlafroczki negliżowe.

Kapelusze fantazyjne słomkowe, t. j. przezroczyste i zdobne nadzwyczaj w tym roku są wytwornéj roboty. Wzory u nich występują uroczo na kitajkowych podszyciach w łagodnych kolorach. Wiele jest w wiśniowym kolorze wystrojonych, a mianowicie używają na ozdobę wstążek słomistych.

Suknie w ogólności są bardzo rozmaite. Pekin podoba się jeszcze jak w roku przeszłym, ale kitajki połyskujące są daleko ulubieńszą tkaniną.

Obok szkockich kratek, małych i wielkich, pokazują się inne wzory, szerokie i wązkie paski, które już blisko, już daleko od siebie oddalone znajdują się. Wełniane muśliny i nankiny ustępują pierwszeństwa kitajkom wełnianym i lnianym.

W kształcie staników panuje zupełna anarchia. Polecają z tyłu zapinane, aż do szyi zachodzące staniki z naramiennicą przedłużającą się aż na plecy i sięgającą aż do sznepki stanikowéj, przezco wygląda jak peleryna, bronią otwartych staników, z pod których wyglądają śliczne półkoszulcza. U innych zakrywają rękawy zaledwie pół ramienia aż do łokci, indziéj aż do dłoni zachodzą. Talia jest równo sztywna, ale nie tak długo jak dawniéj. Powłoka jest zamknięta lub otwarta, według kształtu stanika, zamykają ją na maleńkie rozetki, markasitowe guziki, aksamitem i sprzączkami maleńkiemi.

Objaśnienie ryciny.

1. Ubiór szkocki małego chłopczyka.
2. Kapelusik słomiany, aksamitem zdobny. Sukienka kaszemirowa wystrojona guzikami.
3. Kapotka krepowa osuta koronkami. Suknia z włoskiéj kitajki strojna aksamitem i koronkami. Szal z krepy chińskiéj, haftowany jedwabiem.

Redaktor *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*